OSTATNIE POŻEGNANIE WAKACJI

ŚWIAT MŁODYCH



Foto Janina Schabenbeck-Mokrzycka

ROK II

20 WRZEŚNIA 47 R.

NUMER 29

CENA 20 ZŁ

W NUMERZE:

KRZYŻACKA ZAWIERUCHA
WRZESIEN 1939 R.



Droga na Warszawę. Tędy najeźdźca paląc i mordując sięgnął po naszą stolicę



Vor...



Nasza odpowiedź: „Twierdzą nam będzie każdy próg“



Przemarsz najeźdźcy wymarłymi ulicami stolicy



„Parademarsz“ w Al. Ujazdowskich przed „Bogiem“ Herrenvolku



Butny „Horstwessellied“



Tymczasem polscy lotnicy giną w obronie ostatniego skrawka ziemi polskiej na Helu



„Generalgouvernement“



Na lotnisku w Łodzi synowie „1000-letniej“ rzeszy trzymają wartę



Odeszli! — Pozostały ruiny z którymi nieodłącznie związane są wspomnienia strasznych dni wrześniowych

NA ZGLISZCZACH PRZESZŁOŚCI WZNOSIMY NOWY DOM

ŚWIAT



„Świt“ — Kolumna nowicjuszy z Wojewodą na czele.



„Świt“ — Wojewoda mjr. Wiślicz, redaktor Berlacki, kapitan Jedliński opuszczają dziedziniec „Świtu“.



„Świt“ — Rzeźnia.



„Świt“ — Fragment masarni.

Nasza okładka:
Art. dram. ZOFIA WIĘCŁAWÓWNA

MŁODYCH NA KIELECCZYŹNIE



„Świt" — Na dziedzińcu kolumna umundurowanych.



„Świt" — W oczekiwaniu gorącej kawy.

W SIEDZIBIE „ŚWITU"

Fotoreportaż z życia batalionów pracy „Świt"

„LABORATORIUM NOWYCH LUDZI"

Podczas okupacji budynki na tym terenie były magazynami prowiantów dla wojsk niemieckich, później, po ucieczce Niemców, były kompletnie zdewastowane.

Jeszcze wczoraj Bartek czy Antek, bezdomny sierota, obdarty, głodny, samotny wałęsał się po szosach lub dworcach kolejowych w poszukiwaniu kawałka chleba i zdziczony, przygnębiony, bez szkoły, bez poparcia, bez celu w życiu, nie wiedział co ma ze sobą począć...

A dziś, ten sam Bartek, wykąpany i ubrany, ma już opiekę, kolegów, codzienną strawę i ciepły kąt, czyta, słucha wykładów i pracuje, uczy się rzemiosła murarskiego, stolarskiego, ciesielskiego, ślusarskiego, ba, bierze udział czynny w odbudowie wsi, miasteczek, całego Państwa.

Na obszernym dziedzińcu widzimy dwie kolumny młodych ludzi. Jedna kolumna to już umundurowani, wyszkoleni, a druga to — nowicjusze, jeszcze w swoich szatach, materiał świeży, surowy, który pod czujnym kierownictwem „Naczelnego Chemika" Mjr Wiślicza, przetwarza się w materiał ludzki, nowy, nieskazitelny, pożyteczny i pracowity.

Budynki zaś chłopcy, pod kierownictwem fachowców, sami odremontowali i teraz mieszczą się tutaj warsztaty mechaniczne, stolarskie, ciesielskie, koszary, jadalnia, kuchnia itp.

Hufce były założone w lutym 1946 r., a już wiele zdziałały. Dość powiedzieć, że wioska Lucimia (pow. Kozienicki) została całkowicie odbudowana przez Świtowców. Następnie w Jasieńcu (wieś w pow. Iłżeckim), (o czym pisaliśmy w numerze poprzednim naszego pisma) zabłysło poraz pierwszy światło elektryczne i poraz pierwszy radio zdobyło wszystkie chaty. Świtowcy wybudowali dwupiętrowy gmach dla szkoły zawodowej i po różnych wsiach budują oni dla chłopów obory i izby mieszkalne.

W chwili obecnej bataliony pracy „Świt" znajdują się w Kielcach, Radomiu, Kozienicach, Iłży, Opatowie, Sandomierzu, Skarżysku i Stopnicy. W Sandomierzu „Świt" przejął po wojsku olbrzymie koszary, które także będą całkowicie odremontowane i zastosowane do potrzeb Hufców Budowlanych.

Będzie to zadanie wszystkich „Świtowców" czym wyrażę pełne uznanie Ministerstwu Odbudowy, które chętnie finansuje ten zdrowy odruch młodzieżowy i nie odmawia pomocy niezbędnej dla realizacji różnych spraw, związanych z pogłębieniem i udoskonaleniem szkolnictwa zawodowego w Hufcach Budowlanych „Świt".

Za przykładem Województwa Kieleckiego poszły województwa: Krakowskie, Łódzkie, Lubelskie, Gdańskie i Warszawskie, które przystępują do organizacji hufców na swoich terenach. Głównym zaś Komendantem nowych hufców pozostaje Wojewoda mjr Wiślicz; zastępcą jego jest kapitan Bełdowski. Komendantem pierwszego Okręgu Kieleckiego i Szefem Sztabu Komendy Głównej Hufców „Świt" jest kapitan Jedliński. Intendentem — por. Bedrowicz, jego zastępcą — chorąży Król.

Zwiedzamy inny gmach Hufców przy ulicy Planty w Kielcach. Jest to zupełnie odnowiony, czyściutki dom dwupiętrowy. Na parterze mieści się obszerna masarnia, gdzie przygotowuje się mięso i wędliny dla wszystkich batalionów pracy całego Województwa, liczących przeszło 700 osób. Na pierwszym piętrze mieszczą się sypialnie dla uczennic-pracownic, biura, natryski, umywalnie itp. Na drugim piętrze mieści się wspaniały warsztat krawiecki dla dziewcząt, komfortowa świetlica, jadania oraz wzorowa kuchnia, która szykuje bardzo smaczne posiłki. Nastrój w jadalni przypomina pensjonat lub dom wypoczynkowy.

Po pracy wykłady specjalnych prelegentów, opowiadających o ustroju przedwojennym Polski, o stosunkach dzisiejszych, o celach i zadaniach Hufców, o ich zadaniach i przyszłości. Następnie chłopcy śpiewają chórem, a później stają w kolejce, obok kuchni, skąd już dolatuje zapach apetycznej, gorącej, czarnej kawy do kolacji.

Kto chce pracować sumiennie i dopiąć jakiegoś celu, ten wstępuje do Hufców i zostaje. Kto zaś jest leniuchem, lub absolutnie niezdolnym, może się swobodnie wycofać.

Wstępujący do „Świtu" automatycznie nie jest już rekrutowany do wojska.

Tak wygląda ten zaiste ciekawy „Świat Młodych", żyjący rytmem pracy i walki — dzieło szlachetnej inicjatywy młodych robotników i chłopów kielecczyzny.

M. BERLACKI



„Świt" — W pracowni krawieckiej panuje zamiłowanie do czystości i porządku.



„Świt" — Maszyny huczą. Produkuje się bieliznę, sukienki, spódniczki...



„Świt" — Młodzi adepci zaprawiają się do rzemiosła szewskiego.

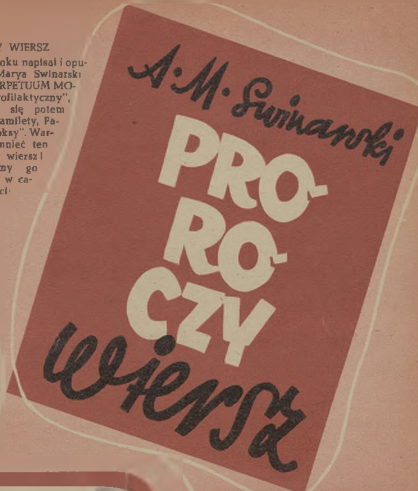


„Świt" — Warsztat szewski. Obuwie na obstalunek. Reperacje zelówek i obcasów. .



PROROCZY WIERSZ

W kwietniu 1945 roku napisał i opublikował Artur Marya Swinarski swój wiersz: „PERPETUUM MOBILE, utwór profilaktyczny", który ukazał się potem w zbiorze „Pamflety, Parodie, Paradoksy". Warto przypomnieć ten proroczy wiersz! Drukujemy go poniżej w całości.






Wszystko będzie jak było po tamtej wojnie...
Wkrótce świat się znów zafrasuje łzami
i zacznie rzewne ofiary nagradzać hojnie
za erzace, posty i brak witamin.

Radzi ciocia Ymcia z wujaszkiem Tomem;
tworzą się misje, komisje i komitety;
Biały Krzyż układa się z Krzyżem Czerwonym;
dewotki wrzeszczą chórem „gwałtu"! i „rety"!

Pakują biblie, ryż, rodzynki i smalec,
szynkę, dżem, czekoladę, kakao i figi.
Nad drutem z pończochą mdleje mumiowy palec
podstarzałych kwok z dobroczynnej ligi.

I gdy tylko rozsypie się Trzecia Rzesza,
z chustką do otarcia łez pośpieszy,
z sercem złotym i z ręką, co wszystko rozgrzesza,
bogobojny tłum na gruz Trzeciej Rzeszy.

Za ogonki, erzace, i brak kalorji,
za głodówek kwarantanny długie
przyjdą poić bękartów niemieckiej historii,
przyjdą koić chudą Hitlerjugend.

Dla małych Fryców mają po puszce mleka,
w tamtej puszce szynka, w tej ananasy —
(Oświęcimskie menu: chleba dziesięć deka
i kubek lury... Dawne to, ciemne czasy!)

„Dzieci niewinne!" — pieją chóry puszkarek
„Niemcy to także ludzie" — gęga stado.
„Zobaczycie, jak nam odżyją zarem
serc rozgrzane tudzież czekoladą..."

Zobaczycie!... Jeśli w was nie trzaśnie
przedtem żywy ogień niczym z haubicy.
Zobaczycie, kiedy za lat piętnaście
z małych Fryców będą duże Fryce!

Jak rewizytę złożyć przyjdą i rewanż
za to serce, które im serca odgrzało,
za refrenik: „absolve!", za hasło: „przebacz!"!
podziękują, tudzież za kakao.

Jak tą nóżką na waszym smalcu wyrosłą,
Jak tą piąstką, wprawną w ojcowskie rzemiosło,
kopną gracko w dobroczynny kuperek.
zbiją buziaki humanitarnych frajerek.

Jak Europę głupią, ślepą i głuchą
brzuchem tanków na maź i łajno rozjadą
biedni chłopcy, dokarmiani juchą
serc subtelnych, tudzież czekoladą..

Koniec pieśni. Ktoś zawoła mi: „Hola!
Chcesz sprowadzić rzeź niewiniątek, Herodzie?"
Wiem tylko tyle: wiersz ten napisał Polak,
głupi i zły, ale Polak — mądry po szkodzie









C jak cykoria

WIECH pisze dla „Świata Młodych"

Od dwóch blisko godzin głowiłem się nad wyborem tematu do niniejszego felietonu, gdy wierny służący zameldował mi przybycie pana Piecyka.

Ucieszyłem się bardzo — przede wszystkim pan Teoś działa zawsze na mnie odświeżająco, a poza tym spodziewałem się, że napewno udzieli mi praktycznej rady. Jakoż nie spotkał mnie zawód, gdy tylko zwierzyłem się, że męczy mnie brak tematu dla pisma młodzieżowego, pan Piecyk powiedział natychmiast:

— Dla młodziaków? Tylko o lotnictwie. Pański koleżka po fachu niejaki Meissner do wielkiej forsy podobnież doszedł na książkach w tym rodzaju.

— Istotnie, ale Meissner jest znakomitym znawcą przedmiotu, starym pilotem... A ja przyznam się panu raz tylko siedziałem w samolocie i to w takim malowanym na płótnie, pozując do momentalnej fotografii na Kercelaku.

— No tak, to faktycznie troszkie za mało ma pan szanowny lotniczego doświadczenia. A dla młodzieży na fuche pisać nie można. Robota musi być odstawiona na piątkie. W taki sposób widzę, że nie ma inszej rady, tylko musiem przejechać się gdzieś europlanem, żebyś pan praktyki nabrał.

Uścisnąłem serdecznie rękę panu Teosiowi i nazajutrz wybraliśmy się samolotem do Krakowa.

Siedzieliśmy właśnie w autobusie, wiozącym nas do portu lotniczego na Okęciu, gdy pan Piecyk spojrzał na mnie badawczo, potrząsnął głową i [illegible]

— Co? cykoria panie szanowny i to w najlepszym gatonku.

Następnie rzucił okiem na nieliczne grono współpasażerów i trącił mnie w nogę:

— Mało nas, zawsze przyjemniej byłoby umierać w większym towarzystwie.

— Ależ co pan mówi, jazda naszymi samolotami pasażerskimi zapewnia sto procent bezpieczeń[illegible]

— Tak tyż słyszałem i dlatego wybrałem się z panem na tę wycieczkę; ale między nami mówiąc, mojra przyzwoitego odczuwam. A najgorzej, że co pod względem diety nie wiem jak się zachować. Jeden lotnik znajomy córki radził, żeby wsunąć przyzwoity obiad z kompotem, a znowuż niejaki Bajraszewski Stanisław, którego wujo za woźnego w „Locie" zatrudnia, powiedział, że nie ma nic gorszego jak z pełnym żołądkiem w taką drogie się wypuszczać. Nie wiedziałem co robić, jak pragnę zdrowia i dlatego od rana jestem naczczo, ale sakwojarz z wałówką wziąłem z sobą. Trochę myśliwskiej kiełbasy, baleronik i parę ogórków. Podobnież apetyt w powietrzu wzrasta, a ja już jestem głodny jak pies. Myślę, że jak pojedziem w górę trzeba będzie coś przetrącić, a kolacje zjl się w tem Krakowie, o wiele ma się rozumieć do prosektorium, za ofiarę lotniczej katastrofy, człowieka nie odstawią.

— Ale co pan mówi, proszę się nie bać, dziś małe dzieci przy piersi podróżują samolotami.

— Mały dzieciak frajer jest, wszystko go zabawia i sprawozdania z niebezpieczeństwa sobie nie zdaje, bo gazet nie czyta, ale my się dzieciakami trajlować nie potrzebujemy, bo wiemy oba, że jest się czego bać no nie?.. Mało nas jedzie... Nieprzyjemnie tak w samotności z tego świata schodzić, chociaż pogrzeb ma się rozumieć będziemy mieli ładny i na państwowy rachonek.

Ale obawy pana Piecyka co do samotnej naszej śmierci były płonne, bo na Okęciu okazało się, że w samolocie będzie bity komplet. Pan Piecyk niepokoił się nadal. A ja poszedłem zasięgnąć informacji o warunkach powietrznych.

Nie brzmiały one zbyt zachęcająco.

— Do Krakowa? Boczny wiatr. Warunki nie nadzwyczajne

Odbywając pierwszą tego rodzaju podróż, nie bardzo się orientowałem, czy boczny wiatr oznacza, że w samolocie będzie przeciąg i należy sobie nakłaść waty w ucho, czy też zwiastuje to niechybną katastrofę. W każdym razie mam odwagę powiedzieć głośno, że prawdopodobnie nieco przybladłem w tym momencie. Podzieliłem się tą wieścią z panem Piecykiem i zapytałem go:

— Panie Teosiu, jest boczny wiatr, lecimy czy [illegible]

— Wiadomo, że lecim, cykoria cykorią, a bileta kupione.

— I siadaj pan żywo bo mogą bez nas prysnąć.

Tu pan Teoś bez ceremonii wciągnął mnie do kabiny. Zatrzaśnięto drzwiczki. Oderwaliśmy się od ziemi. Nie będę tu opisywał wrażeń człowieka lecącego samolotem, bo są one powszechnie znane. Powiem tylko, że przez całą drogę wyglądaliśmy przez okno i często zaglądaliśmy do sak[illegible]

Inni pasażerowie również trzymali się świetnie. Nad Grójcem mieliśmy tylko małą scenkę między pilotem a panem Piecykiem, który podszedł do niego i zawołał:

— Panie majster zjadź pan troszkie na dół, bo chcę się rodzinie żony pokazać. Mój szwagier Wężyk Ignacy restaurację w Grójcu prowadzi niedaleko poczty. Tylko przez okno palcem mu pogrożę i możesz pan smarować dalej.

Ponieważ pilot przyjął tę propozycję uśmiechem, i oświadczył, że nie ma na to czasu, pan Piecyk rozzłościł się i chciał sam pokierować samolotem w stronę restauracji szwagra Wężyka, ale wyperswadowaliśmy mu to jakoś. W tej chwili samolot lekko podskoczył.

— Widocznie przejechaliśmy bociana — zauważył z ubolewaniem mój przyjaciel. Gdy podskoki się powtórzyły pan Piecyk znowu zainterweniował u pilota:

— Dlaczego tak co i raz brykamy?

— Bo trafiamy w dziury powietrzne.

— To jedź pan po równem, nie po dziurach. Po cholerę mamy się trząść kiedy droga szeroka. A takżesamo dawaj pan baczenie na gwiazdy, bo to dzień i nie widać ich, a zawadzić łatwo.

Po jakimś czasie zaczęliśmy gwałtownie spadać w dół. Zamknęliśmy okna, chwyciliśmy się w objęcia, ale nagle poczuliśmy, że koła samolotu pędzą po ziemi.

— Co to jest? — zawołaliśmy.

— Kraków — odkrzyknął nam pilot.

— Tak prędko, to niemożliwe?!

Pan Piecyk nie chciał wierzyć i nawet zrobił małą awanturę.

— Owszem — szanuję powietrzną komunikację, ale grandy i zalewania kolejki nie lubię. Zawiozłeś pan ludzi do Warki i pod bajer ich bierzesz, że to już Kraków. Piecyka w kant chcesz pan uderzyć. Nie ma tak dobrze. Albo jedziem dalej, albo forsę pan oddaj i zawracaj do Grójca, przynajmniej u szwagra Wężyka parę wódek skuteczmimy.

Dopiero po długich pertraktacjach dał się [illegible] Piecyk przekonać, że to istotnie Kraków, któr[illegible] mimo bocznego wiatru osiągnęliśmy w godzinie[illegible] Uścisnął więc pilota kordialnie i zaprosił go do siebie na najbliższą niedzielę.

Felieton lotniczy dla młodzieży był gotów. Pozostawał jeszcze tytuł. Po naradzie z panem Piecykiem uznaliśmy za najbardziej stylowy i najlepiej odzwierciadlający nasze przeżycia: „C jak Cykoria".

LEOPOLD LEWIN

MIESZKANIE SZABROWNIKA



Wszystko — od krzeseł aż do abażuru — szaber:
Lustro gdzieś spod Szczecina, z Gliwic kandelaber



Mahoniowy kredensik i stylowa szafa
To z pałacu jakiegoś przegnanego grafa,



A ten zegar z kurantem, komoda czerwona
barokowe łóżko — od jakiegoś vona.



I zatrzęsienie cacek i — oryginały,
których tylko wie, że nic nie kosztowały.



Cóż więc z tego, że tak się urządził wspaniale.
Kiedy sam się zarazem nie odmienił wcale



Kiedy żywym przykładem jest prawdy od wieka,
Że to człowiek dom zdobi a nie dom człowieka

Ilustrował BARO

JERZY MIECZYSŁAW RYTARD



Sierżant Stępień



JERZY MIECZYSŁAW RYTARD

Marsz ten zaczął się wrześniową, szklistą ranną porą. Od Renu po Wisłę rozległy się odgłosy komend i rozkazów. Europa zaczęła znowu dygotać w ów wrzesień upalny. Stępień szedł przed siebie, według rozkazów, na czele swych ludzi, onsceptyk zgorzkniały w cywilu (taką miał powszechnie opinię), a teraz sierżant czwartej baterii.

Z grymasem andrusowskim na skrzywionych wargach, wciągał w siebie śmiertelny oddech wojny i pogwizdywał na zakrętach. Nareszcie poznał, co to jest strach. Wtedy, jakby znudzoną czymś okrupnie twarz oblekał w wyraz obrzydzenia i cmokał przeciągle stulonymi wargami. Takim poznała go w pierwszej bitwie brygada i takiego miała u siebie bateria.

W tej chwili oto w Borkowie, miasteczku małym i płaskim, jak ten obłok rozpostarty na zachodzie, jest cisza wieczorna. Niebo oddycha zmierzchem.

Sierżant Stępień idzie wielkimi, ciężkimi krokami do swej kwatery w przydrożnej chałupie.

[illegible]cie z boku na bok, umiera co chwila od milionów kul i pocisków prujących z jękiem powietrze od Bałtyku, aż po Karpaty, a on będzie spał, najpóźniej za kwadrans, snem spokojnym i nie zakłopocze się o nic przez tych kilka godzin nocy.

Jeden z jego ludzi, których mijał na drodze, mrucząc coś niewyraźnie wskazał ręką na chropowo-burą kwadratową szopę, stojącą przy drodze. Stępień otworzył niskie drzwiczki. W natłoku popielatych cieni i martwej ciszy, dojrzał kupę sztywnych ciał zwalonych na siebie. Pasma koralowe zaschły im na skroniach i czołach, biegły przez wpółotwarte powieki i świecące szklanymi błyskami źrenice.

Leżeli porucznicy, sierżanci, kaprale i szeregowi zwaleni tu po rannej bitwie. Jeszcze nie było czasu ich pochować.

Krótkim spojrzeniem powiódł po nich i poszedł dalej ku tej upragnionej kwaterze, gdzie będzie można zasnąć spokojnym, ludzkim snem

Te dni wrześniowe prześlizgiwały się w nim, jak raptowne błyski przed oczami. I znowu następne, szybkie, tryskające tymczasowością zdarzeń, rozsadzające mózg ciągłym oszołomieniem, w przeraźliwym zgiełku miast i wsi, rozdętych gromadami zbrojnych ludzi, wlokących się jak automaty ostatkiem sił.

Przez Jodłów, lasy, piaski, marsz. Gorąco Niemcy biją granatami po nieszczęsnej piechocie. Błyskawiczne wybuchy: Bach! Ta-rach! Ptaki i samoloty gdzieś pod słońcem. Niebo rozżarzone. Idą tyralierskie łańcuchy spocone, zziajane. W omdlałych garściach trzymają konwulsyjnie rozpalone karabiny Wloką ciężkie, kłoniaste kolby po trawie, po piasku, zygzakami jadą. Siwy pył wlecze się za nimi, wałęsa i migoce.

Tajemniczo, jak wielka osa, syczy mikrofon telefonu na punkcie obserwacyjnym. Brzęczy jednostajnie, bez przerwy, w dnie suche, parne, i w dnie wilgotne, w noce rozbrzmiewające skrzypieniem żab i w porze chłodnych, rosistych świtów. Mruczy ciągle i narzeka, że trzeba iść, bić salwami, to znów seriami, albo jednym działem markować baterię, gdy reszta zawieruszyła się gdzieś i nie może wyplątać się i dołączyć do jednostki na pozycji.

Stępień twardnieje w sobie. Kurczy się w nim dotychczasowa gmatwanina „cywilnych" uczuć, zmienia się szybko w jaskrawe okrucieństwo nad sobą samym i podwładnymi mu ludźmi, aby jak największej wysiłku wydobyć z siebie i z nich.

Groza, napięta nieustannie, jak struna nad ich głowami, odzywa się jednak ciągłym skamleniem tych mizernych ingrediencji, które kiedyś nazywali swymi „psychikami", wykrzywiających się teraz i wyginających w ciągłym strachu, niemożliwym do zdefiniowania i opisania, w chaosie przeżyć cuchnących krwią, błotem, potem, sianem, moczem ludzkim i końskim.

Ciężkie, grzechotliwe naboje, oddawały w upale smród zjełczałych smarów.

Kiedy mijali w codziennych mar[illegible] i miasteczka, wygin[illegible] się ku nim modelowane granatowymi cieniami sine wzniesienia na horyzoncie. Ku zamkowi Tyrowskiemu zadzierali głowy popielate od kurzu. Toczyli się przez wzgórza przyprószone ranną mgłą, kołowali nad brzegami Lipowca: W wilgotnych powiewach chwiały się długie cienie drzew na dalekich, łysych kopułach pagórków.

Ludzie nie poznawali siebie, zaczadzeni alogicznym wysiłkiem, dławiącą oddech pracą wiecznego marszu i jednej, wielkiej nie kończącej się bitwy, bez składu i planu. Niemożliwe do realnego odczucia były te chwile, kiedy w południowym, gorzkim jak piołun żarze słońca, zganiali z szerokich, rozpalonych pól kujawskich jakieś pułki i baterie, gdy obrzucali dalekonośnymi strzałami szare mrowie piechoty, która zawędrowała tu z nad Renu i z pod Alp, z nad Dunaju. Pociskami, ładowanymi szybko i składnie w lufy rozpalonych dział, łupali czaszki nieznanych wrogów. Leżeli wygnieceni ciałami w płowe rżyska. Świeciły im między włosami postrzępione łaty posoki, na łbach utytłanych w błocie, po których w południowym słońcu przechadzały się wielkie błyszczące muchy, brzęcząc i klejąc się w zasychającej krwi. Któregoś wieczora dotarli nad spieczone łachy Swisłoczy.

Stanęli na pozycji w Kowalewie, miasteczku, o którym niewielu ludzi słyszało na świecie. W załamach twarzy, nad wargami, w rzęsach, brwiach i na policzkach leżały im warstwy kurzu, nawiane pokłady piasku. Byli szaro-brunatni, błyskali białkami oczu, jak jacyś matysi, co przyszli wojować na europejskim kontynencie.

Gdy okiem spalonym i skłutym od świateł nie mogli już objąć ukośnych nachyleń słońca, w których mieniły się i troiły obręcze kół armatnich i srebra podków, przeżyli chwile spazmatyczne: z nerwowym chichotem w spieczonych gardłach, rzucili się rozebrani do naga w chłodną wodę, szemrzącą jak roztopiony dla nich i dobroczynnie płynący orzeźwiający kryształ.

I znowu ataki całonocne, przeplatane raptowną niepokojącą ciszą. Zasnęli nieprzytomni ze zmęczenia, prowizorycznie okopani na pozycji, nakryci płaszczami. Noc była zimna, więc każdy otulał się szczelnie, schowany pod sukno przesycone prochem wielodniowych marszów: Czuli drażniący zapach słomy, zgarniętej skądś pod głowy, nabite piaskiem.

Ilustr.: GUYSCY

O północy uderzył cichy, miękki deszcz, lecz przeszedł szybko. Zbudzili się niektórzy. Spod uchylonych płaszczów widzieli ciemno-szare obłoczki, pełne jeszcze wilgoci, przesuwające się pod gwiazdami.

O świcie, w czasie zaciętego ataku, który niepokój i trwogę rozwlókł na wielu kilometrach pobrzeża, ujrzeli wątłego, dziesięcioletniego chłopca-żołnierzyka (Grzegorz Władek się nazywał), jak szedł zdaleka z punktu obserwacyjnego, łąkami płaskimi, rozlanymi jak morze wśród ciszy i niósł ostrożnie przestrzeloną rękę, trzymając ją przed sobą na grubym temblaku, z powrósła W tyle zapalały się za nim ostatnie rakiety sygnalizacyjne, czerwone i niebieskie, a on szedł powoli, ostrożnie, pobladły trochę, krzywiąc nerwowo swe dziecinne usta i podtrzymując prawą ręką trzęsące się, bezwładne palce, wystające z pod wystrzępionej szmaty.

Bateria cała, przyczajona na zielonej płaszczyźnie, przyglądała mu się [illegible] zapartym oddechem, gdy podchodził ku nim coraz bliżej i uśmiechał się biedziutko nieznacznym uchyleniem warg. Urzekał ich i hypnotyzował ten nerwowy uśmiech dziecka, postrzelonego przez wroga. Postrzelonego jak kuropatwa, wlokąca się po ściernisku z obwisłym skrzydłem. Przez ich brutalne serca przepłynęło wtedy tajemnicze tchnienie, i choć nikt go nie zauważył pozostało uwiecznione na zawsze, gdzieś w nierealnych sferach

Ten odwrót, przeplatany bitwami, nie kończył się. Na południowy-zachód, codziennie ten sam kierunek. Pod wieczór wpadali czasem do wsi i, gdy było spokojniej przez kilka godzin, wyciągali na garstce słomy swój trud codzienny. Stępień któregoś nocy wyjął z plecaka grube, zgrzebne prześcieradło Rozebrał się do naga, zawinął w owe płótno i tak spreparowawszy swą osobę zapadał już w błogą senność, gdy ozwały się kpiny kolegów, drwiących z jego dziwacznego procederu.

Wtedy zabrał głos gospodarz, czarne, kudłate chłopisko kujawskie, zakopany pod kożuchami na piecu, gdzie się przeniósł, ustępując im miejsca na łóżku i na ławach: Opowiedział piękną gwarą staropolską, którą od tysiąca lat mówią w tych stronach, jak to on w 1905, na japońskiej wojnie, tak samo się rozdziewał i wtedy dopiero, oszukawszy na czas nocy zawzięte robactwo, spał jak suseł.

Odtąd zaczęli i inni używać tego sposobu. Za dnia w marszu, pokazywano ich sobie jak dziwolągi, a wkrótce mówiono już w brygadzie o cudakach, co na postojach nocnych nago sypiają.

W tych pochodach niejeden miewał dzień straszny i pociągający magnesem wojennego szału. Oto zbliżał się wieczór. Rude, rozpalone światło drgało w nagrzanym powietrzu. Kolumna wlokła się przez szaro-zielone, płaskie łąki Przed nimi świeciła w gasnącym słońcu biała szosa na Kamionkę. Poszła w kolumnie wieść, że od Kamionki spodziewane są na drodze czołgi niemieckie. Wyciągnęły się wszystkie szyje ku północy. Skwarny oddech wiatru, nasiąknięty niewidocznym kurzem szedł od równin mazowieckich. Żołnierz, rozwleczony długą zdyszaną linią, stukał gwoździami butów na białej drodze, którą przecięto poprzecznym marszem, podrywał szybkim krokiem mączysty pył i gnał go przed sobą gorącym oddechem i wiatrem ciał, tratował omdlałą nogą poplątane bujne chwasty, wrzosy i macierzanki, a potem nad wilgotnymi mokradłami szerokolistne, twarde, chropawe łopiany, szeleszczące cicho w przyziemnych podmuchach. Gdy podeszli do jednego miejsca, gdzie nieduża wyniosłość wypływała łagodnie w górę na równinie, słońce stało już na samym horyzoncie i powoli na jego olbrzymiej ceglastej tarczy zaczęły się rysować najpierw głowy, a potem sylwetki tych, co weszli pierwsi na wzgórze i jak się zdawało Stępniowi, wznosili się w górę ponad słońce — niby karawana nomadów wspinających się na podniebne Palmiry.

Zatrzymali się nad Bzurą. I stała się ta rzeka, o której geografie świata tak niewiele wiedziały, jakgdyby wagą odmierzającą niewysłowioną wytrzymałość żołnierskich nerwów na jednej szali, a na drugiej nieobliczalny ciężar każdej minuty tej wojny przesiąkniętej duszącym smrodem odorów wojennych, do których przybył jeszcze ten, bodajże jeden z najochydniejszych — smród gazów spalinowych.

W bitwie nad Bzurą, brudny, zabłocony, śmierdzący potem sierżant Stępień rozpoznał ową wycyzelowaną delikatnie oś wagi między życiem i śmiercią:

A śmierć była wszędzie, była powszechna i mniej przejmująca, niż kiedyindziej zwyczajny ból głowy. I kiedy brakło niucha tytoniu, bardziej się człowiek trapił i przejmował, niż kiedy ubywał ktoś z szeregu Zawiniątka nerwów w iluzowatym mięsie stwarzały sobie całe idee przetrwania tej niewyrażalnej mieszaniny chaotycznych wydarzeń, które porwały ich w swój irracjonalny wir. Odczuli wtedy na prawdę każde włókno życia, każde dźbło świata, każdy oddech zatęchłych ze zmęczenia ust. Gdy postękując i sapiąc z [illegible] wściekłości, truku wszy [illegible] zagnojonych rowach, marzyły im [illegible] łąki wiosenne z płaskimi strumieniami w gęstwinie niezapominajek.

Jeden cal własnego ciała, rzęsa wykruszona z oka, kaprawiejącego od brudu, odrętwiałego od ciągłych zapatrzeń w nieprzyjacielskie pozycje, więcej była warta, niż wszystkie „psychologie", które gasły teraz w wulkanie wojny, jak w dzień Zadu[illegible] świeczki [illegible] grobach, zdmuchnięte wiatrem jesiennym Tam, nad tą rzeką płynącą leniwie, dowiedzieli się, ile jest warta każda grudka ziemi, każda garść błota, że najcieńsza, najwęższa listewka tataraku jest linią anielską i czym jest skrawek życia, zamknięty między dwiema błyskawicami armatnimi!

Daruj Czytelniku, że w tych wspomnieniach nie ma opisów emocjonujących wyczynów wojennych. Opowiadaniem tym chciałbym jednak wyjść naprzeciw tym, którzy chcą zapomnieć o „absurdach", realiach wojennych, używanych jakże często i powszechnie, jako materiał do barwnych opowieści. Hodują oni, natomiast, w swych wspomnieniach z tych czasów, migawki i obrazy reakcji psychicznych innego, jak widzisz rodzaju mogące się im przydać w życiu pokojowym. Myślę, że jest to wbrew pozorom gatunek ludzi pożytecznych i sądzę, że do ich grona należy sierżant Stępień.

MIECZYSŁAW RYTARD



Tekst: KAZIMIERA KOSINSKA

Foto: JULIA PIROTTE

MŁODE MAŁŻEŃSTWO NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH



Czujny, bystry wzrok młodego gajowego śledzi dalekie, pogrążone w ciszy głębie lasu. Czy nie czai się w nich kłusownik, lub jakiś inny szkodnik, czy też wróg?...





W pracy osadniczej dzielnie sekunduje gajowemu młodziutka żona. Chustka na głowę, grabie do garści — i wymarsz wraz z mężem w pole. Kosa Rajmunda praeuje miarowo i spokojnie, grabie jego małżonki szybko zagarniają, zżęte zboże. Najmłodszy „pionier" z rodu Marcinkowskich, Jaś — śpi spokojnie pod gorącym słońcem górskiego lata...



Mieszkańcy oddalonych zakątków Ziem Odzyskanych podobnie jak osadnicy wyruszający na podbój nieznanych obszarów — muszą być zaradni i muszą znać się na wszystkim. Nietylko sianie, orka, żniwa, praca w lesie stanowi ich pracę — ale także i do gospodarstwa domowego trzeba przykładać ręki.

— Meee! — woła biała kózka, dojona przez Rajmunda. Będzie mleko na kolację dla małego Jasia, który po dniu spędzonym na świeżym powietrzu bardzo jest już głódny...



„Pięknie jest tutaj i dobrze nam tak jak nigdzie" — mówi o swoim życiu i pracy gajowy Rajmund Marcinkowski.

Praca gajowego jest ciężka i niełatwa, ale skoro się ją pokocha, zrozumie mowę pól, drzew i łąk — wtedy łatwiej usunąć przeszkody i znosić trudności.

Ze zmarszczonym czołem i czujną uwagą w oczach młody gajowy przeprowadza pomiary drzew.

Na najdalszych krańcach zachodnich Polski dzielnie pracują mieszkańcy tych ziem, którzy w ciągu krótkiego tu pobytu, zdążyli je poznać i pokochać.

Wśród pionierów, budujących nowe życie na prastarych ziemiach piastowskich, są ludzie dojrzali, starsi, posiadające wiele życiowego doświadczenia i mądrości — a są też całkiem młodzi, którzy na tych ziemiach rozpoczęli nowe wspólne życie — życie we dwoje...

Do takich właśnie należy młoda para, przybyła z Poznańskiego na obszar jeleniogórski — 24-letni gajowy Rajmund Marcinkowski i jego żona — 19-letnia pani Rozalia.

Razem z młodym małżeństwem przebywa w małej położonej wśród gór i lasów gajówce 15-miesięczny Jaś, który rozwija się i rośnie na tak dzielnego pioniera nowego życia — jakimi są jego młodzi rodzice...



Wielką dumę i radość sprawia Rajmundowi widok pięknie rozwijającej się szkółki drzewnej. Z maleńkich, niedołężnych roślinek wyrośnie i rozszumi się kilkadziesiąt tysięcy smukłych świerków!...



Pod dachem cichego, małego domku mieszka spokojnie szczęście dwojga młodych, związanych ze sobą na dolę i niedolę ludzi, którzy, jako jedni z wielu — umacniają polskość naszych zachodnich ziem.



Po pracy jakże bardzo smakuje obiad, przygotowany zręcznymi dłońmi młodej gospodyni! Potrawy w mig znikają z talerzy.



Lato w całej pełni — należy więc myśleć o zimie. Prawdę tę zna każda dobra gospodyni, zna ją także pani Rozalia. Lipiec i sierpień — to doskonała pora smażenia konfitur. Zapełniają się słoje i butelki.

Po trudach całodziennych wieczorem przychodzi pora na wytchnienie. Znużone pracą przy gospodarstwie ręce młodej gospodyni z przyjemnością sięgają po robótkę ręczną. Z białego płatka płótna będzie koszulka dla małego Jasia.



Pani Rozalia szyje — mąż jej pogrąża się w książce. Ciężka praca w lesie, nie wygasiła w nim zamiłowania do nauki — schylony nad biurkiem pilnie przygotowuje się do egzaminów w szkole leśniczej w Chojnastach.



WŚRÓD MŁODYCH AKTORÓW

WITOLD SADOWY,



młody aktor Miejskich Teatrów Dramatycznych, zdobył sobie pierwszymi występami sympatię publiczności warszawskiej. Obecnie gra w „Pigmalionie" Bernarda Shaw. (Foto A. Jedlińska, Warszawa).

STANISŁAWA STĘPNIÓWNA,



[illegible] tycznych, podobała się bardzo w „Szklanej Menażerii" Williamsa Tennesse, która wystawia obecnie [illegible] „Rozmaitości. (Foto R. Burzyński)

Adam Włodek

„PO PROSTU" JANA KOTTA

Jan Kott: „Po prostu" Szkice i zaczepki. Projekt okładki i ilustracje Jerzego Zaruby. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", Warszawa — Bydgoszcz 1946. Stron 212.

Drukowane na przestrzeni ostatnich dwu lat na łamach czasopism literacko-społecznych „szkice i zaczepki" zebrał teraz **Jan Kott** w obszerny i niezmiernie interesujący tom. Pisane naprawdę **„po prostu"**, w formie jasnej i żywej, owe trafne spostrzeżenia i dociekania z zakresu życia kulturalnego i społecznego będą niewątpliwie świetnym przewodnikiem w dziedzinie aktualnych spraw dla tych czytelników, którym czas czy też upodobania nie pozwalają na systematyczne studiowanie artykułów tzw. zasadniczych. A że wyszły te szkice spod pióra jednego z najlepszych współcześnie krytyków i publicystów polskich — należy sądzić, że wiele z nich przejdzie również i poza dzień dzisiejszy.

Jan Kott zwalcza w swych szki-[illegible]czeństwie lenistwo umysłowe. Przeciętny obywatel, a nawet jednostki, po których spodziewać by się można większej „energii" intelektualnej, wolą najdrobniejsze zjawiska tłumaczyć najdziwaczniejszym nieraz splotem przypuszczeń i kombinacji, niż zdobyć się na jasne, niedwuznaczne sformułowanie. Należy więc walczyć za strusią polityką chowania głowy w piasek — a felietony i szkice Kotta ten właśnie postulat spełniają.

Wyliczenie kilku choćby tytułów poszczególnych szkiców da nam już wyobrażenie o zawartości tej pożytecznej książki. Tak więc w części pierwszej, nazwanej „Postęp i bzdura" czytamy takie tytuły: „Podstawy polityki kulturalnej", „Ani gorący ani zimni", „Spisek milczenia", „Uczone gęsi i profesorowie uniwersytetu", „Wojtek i polityka", „Zwycięstwo zdrowego rozsądku" ... itp. Część druga zawiera szereg artykułów z zakresu wszczętej w swoim czasie przez Kotta dyskusji o nowym realiźmie w literaturze. Żywe, zabarwione satyrycznie notatki z pobytu w powojennym Londynie zamykają omawiany tom.

Na tle dość skąpej jakościowo współczesnej publicystyki polskiej, książka Jana Kotta, posiadająca dużą wartość literacką i społeczną, jest jedną z nielicznych pozycji. Jest ona tym cenniejszą, iż nie oszczędza w swych „zaczepkach" również tzw. „czynników". Oto, co pisze na ten te-[illegible]

„Panuje niestety dotychczas przekonanie, że wszelka krytyka jest niedopuszczalna, że o administracji państwowej nie wolno pisać inaczej, niż w tonie entuzjamu i zachwytu. Jest to zwykła nieprawda! Demokracja polska jest dostatecznie silna, aby zniosła każdą rzeczową i uczciwą krytykę... Wielu jeszcze uważa, że każdy artykuł zamieszczony w prasie posiada aprobatę jakichś „mitycznych" najwyższych czynników, i że wobec tego nie wolno z nim polemizować. Jest to znowu nieprawda. Każdy z nas pisze we własnym i tylko we własnym imieniu. Każdy z nas może i musi być krytykowany".

„...Nie ma publicystów bez znajomości faktów. Do faktów tych musimy wszyscy wydać stanowczą i bezwzględną walkę swej zadowolonej z siebie i rumianej „urzędowej rzeczywistości", jaka na łamach prasy i biurkach referentów zasłania prawdziwą i rzetelną wiedzę o tym, co się w Polsce dzieje".

Jan Kott, walczący z zacofaniem życia codziennego i umysłowego, walczący z wstecznictwem zakorzenionym w umysłach wielu obywateli, jak również z przerostami biurokracji i służalczością w życiu publicznym — postulaty swej lekkiej a ważnej książki realizuje w zupełno-[illegible]

DO REDAKCJI

Szanowny Kolego Redaktorze!

Proszę, gwoli tego aby nazwisko moje nie zostało przypadkiem powiązane przez czytelników „Świata Młodych" ze zmianami, które redakcja poczyniła w reportażu napisanym przeze mnie z Pragi Czeskiej — a zamieszczonym w n-rze 27 (33) „Świata Młodych" o opublikowanie następującego sprostowania:

Biedny czytelnik „Świata Młodych" czyta w reportażu: „W miarę powiększania się kompletu numerów „Festivalu", specjalnego pisma Komitetu Festivalowego w czterech językach, na stole kierownictwa polskiej delegacji (biurek niestety nie było na pohybel biurokracji!) — rośnie „nasycenie" dnia festivalowego coraz większą liczbą imprez. Różnie radziliśmy sobie w takich kłopotach. Częstokroć wypadało grać w orła i reszkę..."

Czyta..., i skrobie się zakłopotany w głowę, zadając frasobliwe pytanie: — „w jakich że u licha kłopotach?" Cała rzecz w tym, że w czasie oddawania numeru do druku „wypadł" cały rozdział reportażu, w którym po przytoczeniu programu jednego dnia imprez festivalowych pisałem:

„Siedem imprez o jednej i tej samej godzinie. Co wybrać? Koncert delegacji hiszpańskiej? Warto iść. Pokaz tańców bułgarskich? Też trzeba by zobaczyć. Konferencja w sprawie potrzeb młodzieży z delegatem Unesco? Ważne. A występy baletów Mojsiejewa jednego z najlepszych na [illegible]

Biedny czytelnik „Świata Młodych" czyta dalej:

„Próbowałem pisać nazwisko. I kropka. Ale spotkałem się z protestem: „Napisz coś o młodzieży..." Czyta, i zastanawia się dlaczego autor (niby ja) pisze o tak mało ważnych sprawach.

Tymczasem „chochlik drukarski" usunął w tym zdaniu cały wiersz: „Napisz coś o przyjaźni polskiej i czeskiej młodzieży".

Gdyby „chochlik" chciał poprzestać na tym! Ale nie. W dalszym ciągu reportażu sugeruje czytelników, że delegacja polska na Festivalu miała jakieś „kombinezony". Geneza tego nowotworu wywodzi się z pewnością od „bambino" czyli po włosku dzieciątko. Aby uniknąć kłopotliwych nieporozumień wyjaśniam, że jako żywo żadnych dzieciątek delegacja polska ani nie przywiozła, ani nie wywiozła z Pragi.

Pod koniec reportażu mongolski operator filmowy zgadza się w języku francuskim: — „Mais oui, mais oui" — na to, co głosi transparent delegacji holenderskiej a mianowicie, że „Republika Indonezyjska na zawsze wolna!"

Wyjaśniam więc znów, że operator mongolski nie był snobem i nie wykrzykiwał na wiatr (po francusku!?) zbytecznych zapewnień, a jedynie słów przytoczonych powyżej użył w rozmowie z dziennikarką francuską, dla której to rozmowy zabrakło widać na stronicy 9 „Świata Młodych" [illegible]

Tak to się zdarza Kolego Redaktorze, kiedy kierownik działu literackiego operuje tylko nożyczkami nie pobudzając przy tym szarej substancji mózgowej do pracy, a korektor ma uraz psychiczny na punkcie dzieci...

Wyrazy poważania łączę

(—) Stefan Kozicki





S. RYDEL i M. KOŚCIAŁKOWSKA
w „Grubych rybach" Bałuckiego. Kościałkowska stawia pierwsze, ale już bardzo pewne, kroki na scenie. Rydel ma poza sobą kilka dobrych ról, między innymi Ardenga Martinez w „Jasonie" Swinarskiego. (Foto Stapińska, Katowice.)



OPERA POZNAŃSKA zawdzięcza swój wysoki poziom przedewszystkim energii dyrektora Zygmunta Latoszewskiego, dalej niezwykle zdolnemu dekoratorowi Z. Szpingerowi, oraz baletowi, który należy do najlepszych zespołów baletowych Europy. Na zdjęciu czołowa para baletu poznańskiego: Bittnerówna i Kapliński, w utworze Maklakiewicza p.t. „Cagliostro", którego prapremierę wystawił Poznań



I FILM W POLSCE

Dan Aleksander

W początkach lipca br. wyłoniona specjalna komisja sejmowa z zadaniem zbadania gospodarki w Przedsiębiorstwie Państwowym „Film Polski" jest jednym z dowodów na to jak żywo interesuje się nietylko społeczeństwo. ale nawet parlament sprawami filmu w Polsce i sprawami przedsiębiorstwa, które posiada u nas stanowisko monopolistyczne.

MONOPOL FAKTYCZNY

Z ekonomii politycznej wiemy, że istnieją najrozmaitsze rodzaje monopolów, narzuconych, czy spowodowanych okolicznościami mniej lub więcej pomyślnych dla państwa. Monopolami, przeciwko którym nikt rozsądny nie występuje, są spirytusowy, tytoniowy i loteryjny. Czy jednak powinien, czy może i czy będzie istniał faktyczny monopol filmowy trudno jeszcze przewidzieć gdyż doświadczenia nasze na tym polu trwają zbyt krótko.

Według dekretu, który przed prawie dwoma laty powołał do życia „Przedsiębiorstwo Państwowe „Film Polski", przedsiębiorstwo to posiada wszelkie środki produkcji surowca filmowego i aparatów filmowych w Polsce, wszelkie istniejące kina (chociaż poszczególne instytucje społeczne mogą wznosić i prowadzić kina własne) oraz — co najważniejsze centralę dyspozycyjną filmów, czyli eksploatację.

Gdy potężny dzisiaj amerykański przemysł filmo[illegible] laty swe pierwsze kroki, o żadnych monopolach w dziedzinie filmu jeszcze się za oceanem nie śniło. Z jednej strony powstawały wytwórnie filmowe, z drugiej całkiem niezależnie kina. Dopiero po pierwszej światowej wojnie wytwórnie zorientowały się, że wyłącznie posiadanie kin zapewnia należytą eksploatację [illegible] rentowność filmo[illegible]

Nie trzeba zapomnieć, że podczas gdy pierwsze 300 metrowe filmy amerykańskie kosztowały około 300 dolarów a więc przeciętnie dolara za metr, cena ta podskoczyła w roku 1918 do 100 000 dolarów za filmy 1.500 metrowe, oraz w roku 1928 do miliona dolarów i więcej za filmy 2,500 [illegible]

To też wielkie koncerny amerykańskie nie są w właściwym tego słowa znaczeniu wytwórniami, a ogromnymi biurami wynajmu i zarządu kin, wynajmując na własne ekrany także celniejsze dzieła z pośród wyboru filmów europejskich i innych.

W ten sposób wytwórnie te posiadają w Stanach Zjednoczonych monopol faktyczny i bez porozumienia z nimi żaden inny film nie dostanie się na ekrany U. S. A. choćby był i najlepszy.

Z identycznych założeń wyszli twórcy projektu o przedsiębiorstwie „Film Polski". Bez kin niema produkcji. W Polsce kin jest mało i nawet wyświetlanie jednego filmu we wszystkich kinach (co jest praktycz[illegible] rantuje rentowność filmu.

Postaram się to dokładnie wyjaśnić. Wytwórnia amerykańska „Metro-Goldwyn — Mayer" oblicza rentowność filmu jak następuje: po 4 tygodniach 30% zwrotu kosztów, po 8 tygodniach 55% zwrotu kosztów, po 16 tygodniach [illegible] po 32 tygodniach 75%, po 64 tygodniach 85%, po 104 tygodniach 100%. Dopiero po tym terminie film pracuje na dochód. Sto cztery tygodnie, a więc pełne dwa lata eksploatacji w kilku tysiącach kin należących do koncernu „Metro" w Ameryce pokrywa koszty filmu klasy „A". Tani film klasy „B" pokrywa się za to w 3—4 tygodni i on to stanowi podstawę istnienia i upłynnienia kapitału wytwórni Filmy klasy „A" są wyłącznie prestiżowe.

Z tego prostego dowodu wynika pytanie w jaki sposób film wyprodukowany w małym kraju może się opłacić? Otóż i doszliśmy do sedna zagadnienia, film taki (nawet we Francji) opłacić się NIE może, o ile podjęty został z należytym i nieodzownym wkładem finansowym, albo też opłacić się może, o ile został wyprodukowany tanio.

Wieloletnie doświadczenie filmowe mówi jednak o tym, że tanio wyprodukowany film może tylko udać się przypadkowo i stanowić wyjątek w tej regule, taki jak na przykład francuski film „Farrebique".

Zastrzegam przy tym, że film zrobiony z najwyższym nawet nakładem kosztów może być kompletnym fiaskiem i szmirą w rodzaju kosztującego prawie 5 milionów dolarów angielskiego filmu „Cezar i Kleopatra". Film z dużym nakładem kosztów może się udać, film zrobiony za „darmo" ma minimalne szanse. To sobie jasno powiedzieć musimy.

W takim wypadku tylko MONOPOL posiadania kin zapewni mu jaką taką eksploatację i jaki taki sukces jak to miało miejsce z „Zakazanymi Piosenkami" do których podobno „F. P." nie dopłacił.

PLUSY I MINUSY MONOPOLU

Tak więc z punktu widzenia przedsiębiorcy lub przedsiębiorstwa nie potrzeba udawadniać plusów monopolu. Rozumowanie proste: wyprodukowałem dobry film, mam go gdzie wyświetlać, wyprodukowałem zły, mogę go też wyświetlać bo mam [illegible]

Natomiast z punktu widzenia widza, a jeszcze bardziej z punktu widzenia państwa taki monopol może być szkodliwy, o ile nie znajdą się ludzie, którzy będą w nim pracować z bezwzględną uczciwością, a po za tym, a raczej obok nich ludzie talentu a conajmniej umiejętności.



Nowa gwiazda niemiecka na firmamencie filmowym Hilde Knef marzy tylko o tym, żeby się dostać do Hollywood.



Fraülein na pierwszym planie
Amerykański magazyn ilustrowany „Life" zamieścił kilkustronicowy reportaż z Niemiec, najwięcej uwagi poświęcając... Niemkom. Oto np. Fraülein w mieście uniwersyteckim Marburg wśród amerykańskich „GI" (popularne określenie żołnierzy armii USA), którzy — jak głosi objaśnienie do fotografii — zmonopolizowali dziewczęta niemieckie.

Prywatny przedsiębiorca nie posiadający kin, lub bardziej czy mniej ukrytych wpływów na nie musi zrobić film conajmniej podobający się publiczności, a stara się zrobić jaknajlepszy bo wie, że o ile go kina nie zechcą — leży.

„Film Polski" jako jedyny producent, jedyny eksploatator filmów swoich i zagranicznych może sobie pozwolić na produkowanie filmów złych i sprowadzanie filmów złych, gdyż żadne kino w Polsce nie może zaprotestować przeciwko wyświetla[illegible].

Co robi Przedsiębiorstwo?

Sedno pytania leży więc w tym, czy Przedsiębiorstwo wykorzystuje swoją monopolistyczną sytuację, czy daje nam do połykania szmiry względnie wyłącznie szmi[illegible] dukcji i czy stara się o to by sprowadzić dobre filmy z zagranicy czy [illegible]

Oczywiście na tak ważne pytanie nie można jednym tchem odpowiedzieć ani „tak" ani „nie" i trzeba by mieć doskonały wgląd w całą politykę tej ogromnej machiny aby stwierdzić czy błędy wypływają z wewnętrznej struktury względnie wewnętrznego bałaganu, czy też z przesłanek zewnętrznych od Przedsiębiorstwa niezależnych.

W pierwszym okresie to co nam pokazano z rodzimej produkcji nie ciekawa, chociaż fotografia a głównie ilustracja dźwiękowa nieznośna. Wolno nam było położyć braki filmu „Majdanek" na karb zniszczonego ekwipunku technicznego.

Jednak od tych dość radosnych pierwszych chwil polskiej mowy na ekranie, od czasu znakomitej „Bitwy o Kołobrzeg" co nowego w „Filmie Polskim"? Drepczemy w miejscu. „Ziemia Lubuska", „Ziemia Śląska", „Ziemia Mazurska" i jeszcze kilka ziem dalszych także, zmon[illegible]wanych bez sensu, skomentowanych poniżej wszelkiej krytyki. Czy przed filmem „Ziemia Lubuska" mogliśmy przypuszczać, że tam ludność miejscowa piecze chleb. Nigdy! Prawda? Dlatego film przez 15 minut przekonuje nas, że tam pieką chleb! Jeszcze większym skandalem są filmy krótkometrażowe, o ile się nie mylę „Sztuka ludowa w Łowickim" i „Wielkanoc" (tamże). Czy nikt nie przejrzał tych przeraźliwych szmir przed zakwalifikowaniem ich na ekran. Czy istnieje w ogóle departament scenariuszy krótkometrażowych, który zatwierdza lub odrzuca podobnie bezwartościowe, nieskomponowane kicze? Dlaczego ten sam „F. P. mógł wyprodukować film „Ostatni Parteitag w Norymberdze" było zachwycające ale mogło budzić wszelkie nadzieje. Tematyka była jeden z najznakomiciej zmontowanych filmów tego typu?

Przechodząc ponad innymi „arcydziełami" w rodzaju rozpaczliwej wprost „Muzyki", zastanówmy się nad jedynym dotychczas filmem pełnometrażowym. „Zakazane Piosenki" robili ludzie, którzy twierdzą, że nie była im obca okupacja, ludzie którzy w swych wypowiedziach wyśmiewali „angielską komedię na temat obozów koncentracyjnych" film „Nieuchwytny Smith". Dlaczego więc sami umieścili wątpliwej (na filmie) wartości obrońców Warszawy w sferach mieszczańskich, podczas gdy [illegible]terzy podziemia [illegible] stali w równym stopniu „nieuchwytni" jak sens filmu? Kto zakwalifikował scenariusz filmu „Dwie Godziny" i dał go do wykonania sympatycznemu operatorowi i reżyserowi teatralnemu? Kto już odpowiedział za te wyrzucone miliony, albo jeżeli nie odpowiedział, to w jaki sposób uzasadnił swą decyzję? Być może, że młoda niedoświadczona wytwórnia musi robić filmy próbne, ale trzeba to dokładnie powiedzieć.

Wreszcie film „Jutro premiera" pachnie zdaleka prawdziwym skandalem. Po wszystkich kawiarniach szepczą, że dialogu w zatwierdzonym do pracy scenariuszu starczyło raptem na 600 metrów taśmy, podczas gdy film winien mieć około 3.000? Może to nieprawda, ale wyjaśnienie [illegible] dukcji było bardzo mętne. Co znaczy tekst „Kostiumy i dekoracje będą wykorzystane". Może do filmu o Oświęcimiu, o Reformie Rolnej, o hutnikach i górnikach albo o łodzi podwodnej?

Krótki metraż polski po dwu latach istnienia przedsiębiorstwa znalazł się w impasie, o długim metrażu cisza. Dokąd zawiedzie nas ten monopol... Powstała przed rokiem wytwórnia „Gromada" po jednym smutno nie[illegible] komunikatu do prasy... dlaczego?

Na miejsce PIMA.

Czym był przedwojenny „PIM" wszyscy pamiętamy. Była to instytucja najbardziej wykpiona i ośmieszona, — dzisiejsza „kinofikacja". — PIM przezwał się na PIHM, ale mimo konserwatyzmu przestał być zabawny, gdyż film w Polsce stał się lepszym tematem do popisu. Już „Szpilki", „Rózgi", „Mucha" oraz wszelkie „Camery obscury" we wszystkich przypadkach literackich dały spokój, ale mnożące się w prasie listy od czytelników świadczą, że organizacja gnije od podstaw czyli od kin. Cała prasa polska pełna jest protestów przeciw ciemnym kopiom filmów, na których nic nie widać, przeciw aparaturom dźwiękowym, które wydają dźwięki nie do powtórzenia, przeciw nieporządkom przy kasach i niesłychanemu wprost zachowaniu kierowników kin i personelu, a „Film Polski", który przecież połknął kolosalny majątek i nim zarządza dla dobra państwa połknął także pastylkę milczenia i ani piśnie. Nie widać też w żadnym kinie i na żadnym etapie jakiejkolwiek chęci poprawy. Niechlujstwo jakie na tym polu panuje jest imponujące.

[illegible]

Dalej pozostaje „pierwsza i jedyna w Polsce" fabryka projektorów, „pierwsza i jedyna w Polsce" fabryka reflektorów, „Pierwsza i jedyna w Polsce" fabryka taśmy filmowej.

Może to wszystko jest. Ale gdzie? Chcielibyśmy wreszcie posłyszeć ile kin w Polsce i to JAKIE wyposażono w polskie projektory, ile metrów wyprodukowano tej legendarnej już, bydgoskiej taśmy i jakie polskie filmy nakręcone są na polskiej taśmie?

Wreszcie co będzie dalej? Czy pokażą się filmy choćby niedobre? Nikt nie może wnosić pretensji do doskonałości. Nie ma ludzi, nie ma scenarzystów, nie ma literatów, którzy już pisali dla filmu, nie ma jeszcze zbyt wielkiego aparatu technicznego, no ale przecież jakieś rezultaty trzeba pokazać.

Jesteśmy w przededniu kongresu w Cannes we Francji. Na ten kongres w ubiegłym roku szumnie zapowiedziano w całej prasie, polski film długometrażowy. Jaki? Czyżby „Zakazane piosenki?".

CIĘCIE

Sztuka — wydaje mi się — nie czuje się dobrze w rękach zmonopolizowanego przedsiębiorstwa. O ile produkcja aparatów, zarząd kin, eksploatacja, buchalteria i wszystkie czynności wykonawcze mogą być więcej lub mniej scentralizowane, o tyle film winien powstawać NIEZALEŻNIE od całego tego aparatu wykonawczego. Film może i musi być zaplanowany i zatwierdzony, ale niech produkcja nie będzie zależna od kolosalnej administracji, która gubi i musi zagubić akurat jakiś ważny papierek kładący całą robotę na dwa tygodnie. Reżyser musi być odpowiedzialny za film, musi o tym wiedzieć i musi mieć postawione do dyspozycji wszystkie te środki, które uzna za niezbędne, a to jest możliwe tylko przy ustanowieniu niezależnych od aparatu biurokratycznego grup produkcyjnych.

Wobec szczupłości filmowego rynku w Polsce i małych nadziei na [illegible] zawsze walczył z trudnościami, ale to nie powód by te trudności przez nieumiejętność powiększać i zrażać sobie nawet najbardziej wierną i oczekującą filmów i dobrego traktowania publiczność.

A TERAZ ZE SZWECJĄ I FINLANDIĄ



Wielokrotny mistrz Szwecji Kamraterna Norrkoeping (Film Polski)



Parpan (Cracovia) (SAP)



Gracz (Wisła) (SAP)

Jeżelibyśmy dziś mieli powiedzieć na kim oprze się ewentualna reprezentacja olimpijska, to mielibyśmy kłopot nielada, choć wątpimy, aby przez jeden sezon znalazło się aż jedenaście nowych nazwisk. Jedna pozycja jest właściwie murowana. To Parpan na środku pomocy. Można również stwierdzić, że po wojnie naszym najlepszym napastnikiem jest bezwzględnie Gracz, ale czy utrzyma on swą formę... To są dwie w tej chwili wartościowe pozycje. A reszta? Niestety z tą „resztą" to dużo gorzej...

Ciężar gatunkowy porażki w Pradze 3 : 6 ma [illegible]nas większą wartość niż porażka w Oslo 1 : 3 [illegible]arszawie 1 : 3. Bowiem na boisku praskim ze[illegible] polski miał już okresy, w których mógł się [illegible]obać nawet wytrawnej widowni stolicy Czechosłowacji. Nadspodziewanie mocno zmontowany przez PZPN sezon piłkarski daje już pewne dodatnie rezultaty. A czekają nas jeszcze w tym roku cztery wyjazdy. W najbliższym czasie do Szwecji i Finlandii, a później do Jugosławii i Rum[illegible]

Kadra olimpijska piłkarzy tworzy się w ciężkich bojach międzynarodowych. Bowiem PZPN nie rezygnuje jeszcze z możliwości wysłania naszej reprezentacji do Londynu. Władze piłkarskie uważają, że początek przyszłego sezonu międzynarodowego przyniesie dopiero wykładnik wartości polskiej piłki nożnej w obliczu olimpiady i zadecyduje, czy znajdziemy się w Londynie. Opinia PKOl jes[illegible] obecnej chwili raczej negatywna, ale Ko[illegible] Olimpijski także zgadza się, że zadecyduje p[illegible]tek 1948 roku.



Szczepaniak (Polonia) grał już 32 razy w reprezentacji

1922 Sztokholm	Polska — Szwecja 2 : 1
1923 Kraków	Polska — Szwecja 2 : 2
1924 Sztokholm	Polska — Szwecja 1 : 5
1925 Kraków	Polska — Szwecja 2 : 6
1926 Sztokholm	Polska — Szwecja 1 : 3
1928 Katowice	Polska — Szwecja 2 : 1
1930 Sztokholm	Polska — Szwecja 3 : 0
1932 Warszawa	Polska — Szwecja 2 : 0
1934 Sztokholm	Polska — Szwecja 2 : 4
1937 Warszawa	Polska — Szwecja 3 : 1

Polska: 5 zwycięstw, 1 remis, 4 porażki stos. bramek [illegible]

1923 Helsinki	Polska — Finlandia 3 : 5
1924 Warszawa	Polska — Finlandia 1 : 6
1925 Helsinki	Polska — Finlandia 2 : 2
1926 Poznań	Polska — Finlandia 7 : 1

Polska: 2 zwycięstwa, 1 remis, 1 porażka; stos. bramek 13 : 8.

97 meczów
34 zwycięstwa
18 remisów
45 porażek
stosunek bramek 215 : 219.

JEDZIEMY DO CZECHOSŁOWACJI

V Raid Tatrzański był dla naszych motocyklistów generalną próbą przed sześciodniówką, na którą jadą do Czechosłowacji. Największy raid terenowy świata będzie w tym roku po raz pierwszy udziałem i to dwu reprezentacyjnych ekip polskich.

Motocykliści nasi pojadą na świetnych czeskich maszynach „JAVA", które niedawno zakupił Polski Związek Motocyklowy.

[illegible] naszych asów: [illegible] (PKM Warszawa), Jerzy Dąbrowski (PKM Warszawa) i Andrzej Żymirski (OM-TUR Okęcie Warszawa). Brun jest znanym raidowcem i wyścigowcem, w ostatnim Raidzie Tatrzańskim niestety prześladował go pech i startując już o zmroku w próbie szybkości rozbił swą „Jawę". Dąbrowski triumfator V Raidu Tatrzańskiego jest czystej krwi raidowcem i jego pozycja jest naszym silnym punktem. Pamiętamy dobrze, jak zdobył dwa pierwsze miejsca w wyścigu o Złoty Kask Poznania. Młody Żymirski, zwycięzca IV Raidu Tatrzańskiego z ub. roku, to as młodego pokolenia.

Drugą trójkę tworzą: Jerzy Jankowski (KM Pogoń Katowice), Tadeusz Wikaryjczyk (SSD Gdynia), Włodzimierz Markowski (OM TUR Okęcie Warszawa) lub Jan Liwiński (WKS Legia Warszawa). Zawodnicy ci ustępują co prawda pierwszej trójce, ale tym niemniej należą do twardych, ambitnych i dobrych technicznie jeźdźców.

Żymirski





St. Brun (Film Polski)



Dąbrowski (SAP)



Markowski (SAP)





Kuźniecow w skoku o tyczce

10 10 10 BÓJ



Trzej pierwsi na olimpiadzie berlińskiej. Od lewej: Clark (2 m.), Moris (1 m.) i Parker (3 m.).

Nasze nadzieje na udział najlepszego w chwili obecnej dziesięcio-boisty polskiego, Adamczyka, w olimpiadzie opierają się przede wszystkim na tym, że po wojnie brak jest na całym świecie talentów w tej trudnej konkurencji i wydaje się (jak narazie), że Londyn 1948 r. będzie daleko w tyle za Berlinem 1936 r.

W roku ubiegłym tylko Szwed Andersson przekroczył granicę 7000 pkt. (7039), a pamiętajmy, że rekord Polski Gierutty wynosi 7008 pkt. Mistrz Europy z Oslo Norweg Holmvang osiągnął tylko 6987 pkt., wicemistrz Kuźniecow (ZSRR) 6930 pkt. (Andersson w pierwszym biegu na 100 m. zerwał sobie nieszczęśliwie ścięgno).

W tym roku Andersson zebrał tylko 6841 pkt., następny Szwed Svensson tylko 6700 pkt. Najlepszy obecnie w tej konkurencji Amerykanin Mondschein (którego widzieliśmy w Katowicach), nadzieja USA na olimpiadę londyńską, nie przekracza jeszcze granicy 7000 pkt. Może coprawda zawsze się zdarzyć (i prawdopodobnie się zdarzy), że w Ameryce, gdzie talenty sportowe rodzą się na kamieniach, zjawi się jakiś nowy fenomen dziesięcioboju. Ale nasze (i Europy) obliczenia opierają się na tym, że najtrudniejszą konkurencję lekkoatletyczną, jaką jest dziesięciobój, trzeba trenować całymi latami, aby opanować doskonale technikę poszczególnych konkurencji. A więc może Londyn będzie triumfem jakiegoś Europejczyka i może Adamczyk będzie bliższy czoła, niż Pławczyk na ostatniej olimpiadzie (9 miejsce z 6871 pktami).

Przypomnijmy sobie teraz jak to było w Berlinie. Mistrzem został fenomenalny Morris. Wynik Morissa — 7900 pkt. to rekord świata i rekord olimpijski. Oto poszczególne rezultaty: 100 m — 11,1, 400 m — 49,4 (1), 1500 m — 4:33,2, 110 m płotki — 14,9 (1), w dal — 697, wzwyż — 185, tyczka — 350, kula — 14,10, dysk — 43,02, oszczep — 54,52.



Trzej pierwsi na mistrzostwach Europy. Od lewej: Kuźniecow (ZSRR) 2 m., Norweg Holmvang 1m. i Szwed Waxberg 3 m.



Morris rzuca oszczepem



Clark w skoku wzwyż

Rekordzista Polski w dziesięcioboju Gierutto (Film Polski)





Adamczyk (Film Polski)

?

Wielki Konkurs Świata Młodych

KAŻDY CZYTELNIK WYGRYWA

Szczegóły w następnym numerze

SWETRY NA DRUTACH ROBIMY SAME

Mężczyźni podobono zawsze i wszystko „umieją lepiej" od kobiet. Przy lada dyskusji wytaczają zaraz swój tradycyjny argument, że „geniuszami i wynalazcami byli zawsze tylko mężczyźni", a ostatecznie ta jedna Curie Skłodowska...

Może to i słuszne, może nie — ale jedno jest pewne: że jeszcze się taki męski geniusz nie urodził, któryby potrafił zrobić... zwyczajny sweter na drutach. Dlatego prawdopodobnie my kobiety traktujemy mężczyzn z pewnym lekceważeniem — bo i cóż to za geniusz, który potrafił np. wybudować drapacz chmur, a staje bezradny i oniemiały wobec niepojętej dla niego formułki „ryż podwójny" czy „ryż pojedyńczy"?

Nam, dziewczętom tego tłumaczyć nie trzeba. Wystarczy mieć kłębek ślicznej, kolorowej wełny, dwa druty i trochę dobrego smaku i pomysłowości — by stworzyć te wszystkie modele, które widzimy na zdjęciach.

Peki.


2


1


4

3

1 Najnowocześniejszy model kamizelki na sezon 1947/48 z wełny w jednolitym kolorze, kontrastującym z bluzką, którą nosimy pod spodem; np. bluzka biała lub popielata, kamizelka jasno czerwona, żółta lub zielona itd.

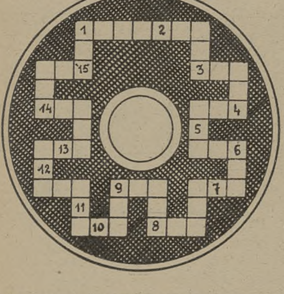
2 Twarzowy pulower z wełny w dwóch kolorach: czarnym i jasno-błękitnym; zapięcie na ramieniu na drobne guziczki

3 Pulower z wełny w kolorze kukurydzy — szlak wielobarwny haftowany ręcznie

4 Bluzeczka wizytowa z cienkiej wełny w kolorze morelowym — przybranie z czarnej aksamitki. Model tylko dla szczupłych!

ROZRYWKI UMYSŁOWE

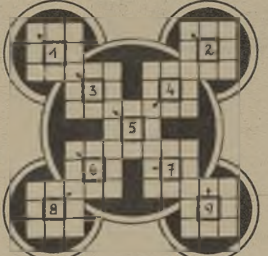
CIĄGÓWKA



Do powyższej figury wpisać jednym ciągiem 15 wyrazów o podanym znaczeniu. Ostatnia litera każdego wyrazu jest jednocześnie pierwszą literą następnego wyrazu. Litery znajdujące się na miejscu cyfr czytane kolejno dadzą rozwiązanie: imię i nazwisko jednego z bohaterów [illegible]stania styczniowego.

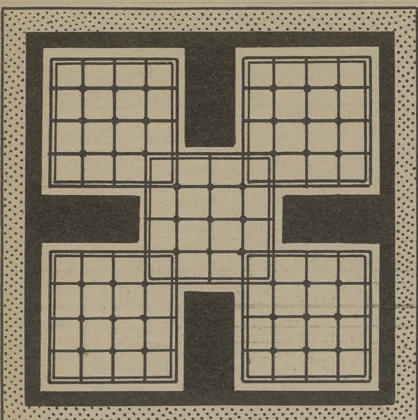
Znaczenie wyrazów: 1) Dolny brzeg kapelusza. 2) Część, kawał czegoś. 3) Opera I. Paderewskiego. 4) Część twarzy. 5) Codzienny przegląd wojskowy. 6) Tytuł szlachty angielskiej. 7) Ptak błotnisty. 8) Wozy z zaopatrzeniem jadące za wojskiem. 9) Skała podwodna. 10) Uprzywilejowana karta w grze. 11) Spojrzenie, gest zalotny. 12) Gatunek antylopy. 13) Rączka, rękojeść. 14) Wzniesienie zdrowia w czasie uroczystego przyjęcia. 15) Ssak wytępiony całkowicie, przodek bydła rogatego.

WIRÓWKA



Dokoła podanych cyfr wpisać wirowo (zgodnie z ruchem wskazówki zegara) 9 wyrazów dziewięcioliterowych o podanym znaczeniu. Każdy wyraz zaczyna się w kratce środkowej oznaczonej cyfrą, a dalszy kierunek wpisywania wskazany jest strzałką. Litery na miejscu cyfr czytane według kolejności dadzą rozwiązanie: nazwisko jednego z największych filozofów i matematyków świata.

Znaczenie wyrazów. 1) Zakład przyjmujący lokatorów z całodziennem utrzymaniem. 2) Spis przedmiotów. 3) Pobłażać, zezwalać, znosić. 4) Barwnik o pięknej barwie czerwonej. 5) Pilność, zapał. 6) Domniemana pierwsza poetka polska z XVI-go wieku. 7) Objawienie, odkrycie. 8) Jednogłośne uznanie. 9) Miasto w zagłębiu śląsko-dąbrowskim.



MAGICZNY KWADRAT

Do poszczególnych kwadratów wpisać po cztery wyrazy czteroliterowe o podanym niżej znaczeniu tak, aby można było je czytać jednakowo tak poziomo jak i pionowo.

Lewy górny kwadrat: 1) Ssak morski z wielkimi wystającymi kłami. 2) Obwód, okrąg. 3) Lewy dopływ Wisłoki. 4) Gra w karty.

Prawy górny kwadrat: 1) Ryba. 2) Miejsce schronienia dla ludzi ściganych przez prawo lub wroga. 3) Miara papieru. 4) Szkic, zarys.

Środkowy kwadrat: 1) Kładka do przejścia z lądu na statek. 2) Część obrazu. 3) Rzeka na pograniczu Syberii i Mandżurii. 4) Ogród zadrzewiony.

Lewy dolny kwadrat: 1) Mieszkaniec puszczy Myszynieckiej. 2) Góry na pograniczu Europy i Azji. 3) Skała podwodna. 4) Obszar niezabudowany w mieście.

Prawy dolny kwadrat: 1) Półwysep między oceanem Lodowatym a morzem Białym, 2) Znak, wróżba, 3) Służą do tępienia owadów. 4) Roślina używana do przyprawiania wódki.

CZY JUŻ WIESZ

???

1. Kogo nazywamy Janem Chrzcicielem poezji polskiej?
2. Kto jest kompozytorem opery polskiej „Krzyżacy"?
3. Ile uniwersytetów jest [illegible] i w jakich miastach?

Rozwiązanie zadań z niniejszego numeru przesyłać należy najpóźniej do dnia 29 września br. pod adresem: Redakcja tygodnika „Świat Młodych", Warszawa, ul. Grażyny 8 z dopiskiem „Rozrywki umysłowe".

Za trafne rozwiązania tych zadań (niekoniecznie wszystkich) przyznane zostaną 3 nagrody:

Album do fotografii i 2 książki.

Jednocześnie przypominamy, że w nr 28-tym ogłosiliśmy „V-ty konkurs wytrwałości", który polega na rozwiązaniu jak największej ilości zadań zamieszczonych w nr nr 26, 27, 29 i 28 „Świata Młodych", a dla zwycięzców przeznaczone są

4 specjalne nagrody.

Rozwiązanie zadań z nr 23-go

REBUSIKI ROŚLINNE: brukiew, pietruszka, pomidor, fasola, szpinak — „burak" (względnie rzepa, arbuz, seler, prosno, koper).

MAGICZNY KRZYŻ GEOGRAFICZNY: Wejherowo, Przeworsk, Ostrołęka.

Dobre rozwiązanie nadesłali:

a) obydwóch zadań: 1) **Abratowska Lidia** — Glinik Mariampolski. 2) **Baczyński Czesław** — Poznań. 3) **Badurzanka Albina** — Szopienice. 4) **Chmarzyński Jan** — Hrubieszów 5) **Cieparek Piotr** — Zawiercie. 6) **Cysewski Hubert** — Poznań. 7) **Feduszka Marian** — Szczebrzeszyn. 8) **Kowalska Danuta** — Radość. 9) **Maj Sławomir** —Warszawa. 10) **Matyszczak Tadeusz** — Popów, pow. Częstochowa. 11) **Kozłowski Mieczysław** — Chełmża. 12) **Patofilińska Stanisława** — Żywiec. 14) **Pakulanka Janina** — Szopienice. 13) **Pawlak Edward** — Poznań. 15) **Przygoda Dariusz** — Częstochowa. 16) **Romer Marian** — Zabrze 17) **Różanek Jurand** — Opalenica. 18) **Skowroński Zenon** — Poznań. 19) **Studziński Władysław** — Kraków. 20) **Świechowski Marian** — Przedmieście Bliższe p-ta Solec. 21) **Turek Jan** — Kraków. 22) **Dr Wandokanty Franciszek** — Wrocław. 23) **Węgrzyn Beata** — Sosnowiec. 24) **Wiśz Zbigniew** — Biała Podlaska. 25) **Wołoszyńska Weronika** — Wołomin. 26) **Zaborowski Czesław** — Chełmża. 27) **Zwolski Zygmunt** — Pabianice. 28) **Gruszecka Helena** — Obcry p-ta Sarnowo. 29) **Drążkiewicz Z.** — Opalenica, pow. Nowy Tomyśl. 30) **Szymański Henryk** — Leszno Wlkp.

b) jednego zadania: 31) **Biernacki Jerzy** — Żary k. Zagania. 32) **Mgr. Maciolek Kazimierz** — Gostyń Wlkp. 33) **Tokaj Jan** — Warszawa.

Nagrody otrzymują:

1) **Wołoszyńska Weronika** — Wołomin k. Warszawy, ul. Nałkowskiego 17/1 — książkę A. France'a „Wyspa pingwinów".

2) **Turek Jan** — Kraków, ul. Grzegórzecka 8 m. 5 — książkę I. Erenburga „Upadek Paryża".

Obydwie książki ofiarowała Spółdzielnia Wydawnicza „Książka".

ODPOWIEDZI

Na skutek licznych reklamacyj naszych Czytelników, że nie zostali zamieszczeni w spisie rozwiązujących, interwenjowaliśmy w Urzędzie Pocztowym w Warszawie, gdzie niespodziewanie okazało się, że około 70 listów Waszych czeka cierpliwie na doręczenie ich do naszej redakcji (niektóre nawet z datą czerwcową).

Oczywiście wyciągnęliśmy odpowiednie konsekwencje, a miłych Czytelników, chociaż nie stało się to z naszej winy, przepraszamy i postaramy się w najbliższej przyszłości wynagrodzić „skrzywdzonych".

P. Badurzanka Jadzia — Szopienice. Brak szczęścia wyjaśnił się chyba po przeczytaniu powyższej wzmianki, wyjaśniającej los „zagubionych" listów. Ponieważ Wasze rozwiązanie z nr 20-go było właśnie w tej „pechowej" grupie, nie mogliśmy wyrazić Wam uznania za rozwiązanie mylnie podanych „literowych działań", co teraz z przyjemnością czynimy. Prosimy o dalszą współpracę. Dziękujemy za pozdrowienia, łączymy wza[illegible]

Pł Zaborowski Czesław — Chełmża. Rozwiązanie z nr 19-go otrzymaliśmy, ale jak to już wyjaśniliśmy, nie z naszej winy, mocno przeterminowane. Pamiętamy jednak o tym na przyszłość. Dziękujemy za słowa uznania. Pozdrowienia.

REDAGUJE ZESPÓŁ
WYDAWCA: SPÓŁDZ. WYD. »PŁOMIENIE«

REDAKCJA I ADMINISTRACJA. WARSZAWA, ul. GRAŻYNY 8. TEL. 8-51-82
PRENUMERATA KWARTALNA ZŁ 225.—. Z PRZESYŁKĄ DO DOMU
WPŁACAĆ NA KONTO P. K. O. WARSZAWA Nr 1-4252

Rotograwiura Drukarni św. Wojciecha pod Zarządem Państwowym w Poznaniu. K-32701

A TERAZ NA WESOŁO

BANDYTA

Napisał: **Benedykt Hertz**

Skończył się bruk miejski, skończyły się latarnie. Obcasy przestały stukać i nogi ślizgają się po miękkiej mazi. Z ciemności występuje co chwila jakiś potwór wieloramienny i starszy. Nie boję się drzew, ale pogwizduję dla kurażu. Diabli nadali taką ciemną noc. Ani gwiazd, ani księżyca... Jeszcze w dodatku ta przeklęta paka.

— Dzióbku — powiedziała żona, dając mi kartę z wypisanymi sprawunkami — dzióbku... (zawsze jestem dla niej „dzióbkiem", kiedy chce mnie przemienić w wielbłąda...) jak będziesz wracał z biura, nie zapomnij kupić...

Ona myśli, że wciąż mam 25 lat i mogę takie ciężary dygować. I jeszcze gdyby gdzie blisko! Ale mojej pani zachciało się domku i ogródka za miastem. Wyczytała, że Anglicy nie mieszkają w city, więc i ona nie może inaczej, jak na końcu świata.

Rano zrywaj się do biura. Zresztą, to jeszcze nic. Ale wieczorem, z biura... No, nie zawsze tak zupełnie prosto z biura. Człowiek jest przecie stworzeniem towarzyskim: nie raz wypada zajrzeć gdzieś, gdzie można z tym i owym pogadać... Czasem zasiedzi się, tramwaju nie ma już, no i wal taki kawał na piechotę.

Do licha! znów się potknąłem. Ciekawa rzecz, kiedy magistrat wybrukuje te ulice, latarnie tu poustawia? Jak się rozgniewam, to taki artykuł wykropię, że im w pięty pójdzie. Wcale nie wiedzą, jakie ja mam pióro. Przecież te ciemności to tylko wygoda dla bandytów...

Tfy! żeby w złą godzinę nie wymówić...

Co to... Wyraźnie usłyszałem za plecami szmer jakiś... Obejrzałem się, ale noc jak smoła. Na krótką chwilę przystanąłem... Nasłuchuję. Nic. Może złudzenie słuchowe. Tak, złudzenie. W każdym razie, strzeżonego Pan Bóg strzeże. Lepiej trochę pośpieszyć. W zeszłym tygodniu jakiś łobuz zaczepił sąsiada i odebrał mu portfel. Podarty był i pusty, ale i takiego szkoda. Hycel nie miał szczęścia. Chociaż, nie, — miał. Tak, miał, że się nie narwał na mnie. Bo ja... oho! dałbym łajdakowi portfel. A jużci. Łeb bym rozbił, zęby powybijał... Raz w mordę, drugi raz w mordę... Ze mną nie ma żartów...

Phu! Zdyszałem się. Nie mogę tak prędko chodzić.

Żona mówi, że mi brzuch za duży wyrósł. Zawracanie głowy. Nie brzuch, — tylko lata. Kończę rok 56-ty, skleroza... A ta mi każe dźwigać takie pakunki. I to po ciemku...

Tak, najwyraźniej, ktoś za mną idzie. O, nie lubię tego. Nie, żebym się bał, ale mam wstręt do awantur... Już zupełnie dobrze słychać kroki.

Pogwizduję... Ja ci zagwiżdżę, ja ci zagwiżdżę...

Do domu jeszcze kawałek, a ta przeklęta paka... no i serce...

Ojej, phu... wali, jak młotem. Ledwo dycham.

Najgorzej, mieć takiego kogoś za plecami. Bo mieć wroga przed sobą — zupełnie inna sprawa. Zresztą, jeżeli ma mnie zamordować — bardzo proszę, ja śmierci się nie boję. Niech morduje, ale już, zaraz... Żebym nie czekał. Najgorsze jest oczekiwanie.

Zwolniłem kroku. Gwiżdżę. Gwiżdżesz ty, pogwiżdżę i ja sobie. Niech wie, że go się nie boję.

Teraz już nie ma wątpliwości: ktoś krok w krok za mną postępuje.

Obejrzeć się?... Lepiej nie. Będzie myślał, że się lękam. Niech wie, że mnie nic nie obchodzi, że wcale nie wiem o jego obecności, ani o zamiarze ograbienia mnie...

Gdyby nie miał złych zamiarów, nie pędziłby tak. A on idzie coraz prędzej, coraz prędzej. Słyszę go prawie tuż za sobą...

Choć postanowiłem nie śpieszyć się i pozwolić, żeby mnie drab wyminął, nogi same jakoś nabrały szybkości. Ale dom wciąż jeszcze daleko, a ta paczka, ta przeklęta paczka... Rąk już nie czuję, tchu złapać nie mogę. Rzucę, do diabła ciężkiego, albo co... Tylko Scholastyka... Narobiłaby piekła.

A jednak — nie dam rady. Co będzie, to będzie, dziej się wola boska.

Przystanąłem.

Stoję z otwartymi ustami, ciężko łapiąc powietrze. Z ciemności wysuwa się zwolna postać ludzka... Chłopisko ogromne, bary szerokie, gruby kij w łapie... Zbliża się, zbliża... Już jest o dziesięć kroków ode mnie, już o pięć... dwa...

Minął. Uffff!

Otarł się o mnie mocno, ale nie zaczepił. Nie, cicho, ani słowa...

Oddala się. Idzie coraz prędzej... Co mu tak pilno?... Boi się mnie, czy co? Zupełnie, jakby uciekał.

Odruchowo pomacałem kieszeń kamizelki. Zrozumiałem. Mój złoty zegarek z pamiątkową dewizką. Wyciągnął łajdak. Tę dewizkę otrzymałem od kolegów w dniu jubileuszu. Dokupiłem sobie od niej również złoty zegarek. Niedawno wniosłem ostatnią ratę...

A to złodziej! A to bandyta! To dlatego tak mocno otarł się o mnie.

Nie, nie daruję. Mam straszak w kieszeni. Strata zegarka tak mnie zabolała, żem zapomniał o niebezpieczeństwie, o koniecznych ostrożnościach...

Huknął strzał.

— Stój! — zawołałem — bo uśmiercę.

Bandyta przystanął. Nie wypuszczając broni z ręki, ostrożnie zbliżyłem się do niego.

— Odddaj zegarek.

Łotr zdążył już przyczepić go sobie, więc wypadło chwilę zaczekać, aż odpiął guzik i przeciągnął łańcuszek przez dziurkę.

Wsunąłem zegarek do kieszeni palta i zawołałem groźnie:

— A teraz marsz!

Złodziej, jakby czekał tylko na tę komendę, wziął nogi za pas i po minucie straciłem go z oczu.

Byłem tak zachwycony własną dzielnością, że paczka przestała mi ciężyć, serce walić, a nogi stały się lekkie i zwinne, jak nogi gazeli. Jutro całą historię opowiem Fredziowi, to ją poda do gazet. Chłopak sobie zarobi, a ja... Całe miasto będzie wiedziało, kto jestem. Przede wszystkim Stasiek. Taki pyszny ze swego Krzyża Walecznego. Wielka sztuka. Idzie sobie w kupie w biały dzień... Nie, bratku! Spróbuj sam jeden, w nocy, na odludziu — tak, jak ja... Gdyby mnie wzięto na wojnę, tobym nie jeden taki krzyż otrzymał. Chciałem pójść. Jak mi Bóg miły, chciałem, tylko interesy nie pozwoliły, no i żona. Tak, ona nie dała mi zostać bohaterem, przez nią niektórzy uważali mnie za tchórza... Teraz dopiero dowiedzą się, że ze mną żartów nie ma, że ze mną trzeba ostrożnie, bo inaczej — ho, ho! pokażę śmiałkowi, gdzie raki zimują.

Ale ten bandyta ptaszek, widać, nielada. Jak zręcznie otarł się o mnie. Anim poczuł, że mi sięga do kieszeni. Dobrze, że wczas pomacałem. Byłby zegarek przepadł. Razem z dewizką — ładna strata. Dopieroby mi Scholastyka dziurę w brzuchu wierciła, no!

Śpi teraz. Ani się domyśla, jaka będzie jutro ze mnie dumna. Już sobie wyobrażam, jak będzie zadzierała nosa wobec sąsiadek, kiedy w pismach pojawi się wiadomość o moim czynie.

Spokojnie, bez pośpiechu otworzyłem furtkę ogródka. Nero wyskoczył z budy, pogłaskałem go po łbie i śmiałym krokiem zbliżyłem się do drzwi wejściowych. Zazwyczaj, gdy zjawiam się późno, stąpam na palcach, cichusieńko. Dziś przeciwnie: głośnymi krokami wszedłem do mieszkania i zapaliłem światło. Niech się Scholasia obudzi. Nic nie szkodzi. Jeszcze dziś musi się dowiedzieć o wypadku. Jaka jest, taka jest, ale zawsze moja żona i ma prawo usłyszeć pierwsza. Jutro już całe miasto będzie trąbiło.

— Mógłbyć tak nie hałasować — rzekła, ujrzawszy mnie w progu sypialni.

— Obudziłem cię, duszko?

— No, chyba. Możebyś tak nie tupał. Przyniosłeś paczkę?

— Przyniosłem, kochanie, wszystko, coś wypisała na karteczce.

— Dobrze, tylko trzeba się było trochę pośpieszyć. Przez ciebie musiałam jeść suche bułki na kolację.

— Wybacz, najdroższa, ale imieniny Zygmunta...

— Dziś wcale nie Zygmunta. Dziś Weroniki...

— No tak, ale on przełożył.

Z maja na styczeń? Tak, włócz się po nocach, włócz się, to cię kiedy bandyci napadną i...

— Mnie? Śmiej się z tego. Nie ja przed bandytami, ale bandyci drżą przede mną.

— Piłeś. Na pewno piłeś.

— Nie, moja pani, nie po pijanemu się chwalę. Jestem trzeźwy, zupełnie trzeźwy i przytomny.

Tu jąłem opowiadać Scholastyce, co mnie spotkało. Słuchała, uśmiechając się, widocznie dumna ze mnie.

A gdy skończyłem, rzekła krótko:

— Idiota.

Zdębiałem. Jakto? Dlaczego?

— Przecież twój zegarek leży na biurku. Zapomniałeś go wziąć ze sobą.

•

Wczoraj był u mnie jakiś pan z policji. Jestem podobno oskarżony o bandytyzm.







— Pośpieszcie się, żebyśmy zdążyli na lotnisko.



— Feluś!... Chciałem sprawdzić, czy nie nabijamy w butelkie nasze klientele!...

rys. BARO



— Jeszcze myślę ponad placem tenisowym umieścić basen kąpielowy



Problem szachowy.